

STANLEY TUCCI

CO ZJADŁEM PRZEZ ROK

[i o czym wtedy myślałem]

Przetłóżył Piotr Królak

MARGINESY

What I Ate in One Year

COPYRIGHT © 2024 BY Stanley Tucci

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Piotr Królak

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2025

Mojej żonie, Felicity.

Rodzinie.

Przyjaciołom.

Tym, których kochałem i których nie ma już przy moim stole.

Wstęp

Nigdy nie śnię o jedzeniu. A przynajmniej nie pamiętam snów, w których pojawiłoby się jedzenie. Śnię o wielu rzeczach i jak u większości ludzi, moje sny są szalenie skomplikowane, nonsensowne, wypełnione pokręconymi wersjami dawnych doświadczeń czy lęków, które miałem i nadal mam, na przykład to, że nie mogę się skontaktować z moją żoną Felicity albo ochronić siebie lub kogoś bliskiego przed fizycznym zagrożeniem.

Często śni mi się końcówka liceum: już prawie je ukończyłem, ale przez cały rok nie chodziłem na lekcje matematyki z nadzieją, że ujdzie mi to na sucho i wciąż będę mógł otrzymać dyplom. Ten sen jest zawsze tak realistyczny, że budzę się śmiertelnie przestraszony, z przeświadczeniem, że zostanę zdemaskowany, nie pozwolą mi zdawać na studia i zmuszą do powtarzania ostatniej klasy – aż do momentu, w którym uświadamiam sobie, że to tylko sen, a ja jestem sześćdziesięcioletnim facetem, nie licealistą, i choć wciąż beznadziejnie sobie radzę z matematyką, to udało mi się skończyć szkołę i wiodę całkiem spełnione życie.

Regularnie powraca też do mnie klasyczny „koszmar aktora”. Ta manifestacja zakorzeniona głęboko w podświadomości

lęku wygląda zwykle tak, że trafiam na scenę nago albo ledwie w połowie ubrany, albo w niewłaściwym kostiumie, i ponieważ w ostatniej chwili wyznaczono mnie na zastępstwo za innego aktora, to zaczynam grać kompletnie nieprzygotowany, nie znam ani jednej linijki tekstu. (Zapytajcie o to jakiegokolwiek przedstawiciela mojej profesji i każdy zapewni was, że nawiedza go ten sam koszmar). Ironia polega na tym, że dwadzieścia lat temu rzeczywiście doświadczyłem takiej sytuacji: grałem w przedstawieniu, w którym przez pierwsze dziesięć minut musiałem być nagi i w ciągu tych dziesięciu minut co najmniej raz zupełnie zapomniałem, co mam mówić. Niestety, sny się czasami spełniają.

No i oczywiście jest jeszcze śmierć. Często śnię o śmierci. O zmarłych. Członkach rodziny, przyjaciółach i – często – o mojej żonie Kate. Mówi się, że jeśli mamy z kimś lub czymś niedokończone sprawy, to zdarzenie lub ta osoba będą nas niejednokrotnie odwiedzać w snach. Myślę, że to ma sens. W ten sposób nasze umysły i serca radzą sobie z kwestiami, z którymi nigdy w pełni się nie uporaliśmy.

Jak wspominałem, chociaż jedzenie odgrywa ogromną rolę w moim życiu na jawie, nigdy nie pojawia się w moich snach. Może dlatego, że się go nie boję. Jedzenie mnie po prostu uszczęśliwia. Nie wzbudza niepokoju i w istocie może być spośród kluczowych elementów mojego życia jedynym, który nieodmiennie przynosi mi ukojenie. Wszystkie inne – praca, dzieci, małżeństwo, przyjaźnie, krewni – dają mi wiele radości, ale nie będę udawał, że nie powodują także stresu. A jedzenie po prostu czeka na stole. Piękne, kolorowe, gotowe zapewnić mi pocieszenie i uczucie sytości, nadzieję w chwilach, gdy za rogiem czają się śmierć i arytmetyka.

Skoro już jesteśmy przy liczbach, posiłkach i śmierci, zawsze sobie wyobrażałem, że gdy umieramy, czeka nas jeden z trzech możliwych scenariuszy.

Według pierwszego umieramy i po prostu już nas nie ma. Nie ma nic. I tyle.

Według drugiego umieramy i okazuje się, że śmierć to długi samotny posiłek z beznadziejnym jedzeniem.

Według trzeciego umieramy i dowiadujemy się, że śmierć to stół suto zastawiony doskonałymi posiłkami dla nas i wszystkich, których kochaliśmy – i że możemy się wspólnie dzielić jedzeniem przez resztę nieskończoności.

Kiedy nadejdzie mój czas, postaram się dać wam znać, który scenariusz okaże się prawdziwy – jeśli tylko będzie to możliwe.

Powiedz mi, co jesz, a ja powiem ci, kim jesteś.

JEAN ANTHELME BRILLAT-SAVARIN

2 stycznia 2023

Smutno było wyjeżdżać z domu, bo spędziłem cudowne święta z Felicity, dziećmi, przyjaciółmi i krewnymi. Musiałem jednak lecieć do Rzymu, gdzie zaczynają się zdjęcia do *Konklawe*, filmu w reżyserii Edwarda Bergera, z udziałem Ralpha Fiennesa, Johna Lithgowa i Isabelli Rossellini. To adaptacja książki o tym samym tytule, autorstwa jednego z moich ulubionych powieściopisarzy, Roberta Harrisa. Czytałem tę powieść o wyborze nowego papieża kilka lat temu i kiedy przysłano mi scenariusz z propozycją występu w ekranizacji, byłem zachwycony. Podobnie jak perspektywą współpracy z Ralphem i Isabellą – z którymi grałem już wcześniej – oraz Johnem, którego też trochę znam. Edward całkiem niedawno nakręcił doskonałe *Na Zachodzie bez zmian*. Spotkałem się z nim dwa razy przed rozpoczęciem zdjęć i nie mam wątpliwości, że to czarujący człowiek.



Lot do Rzymu raczej bez zakłóceń. Zameldowałem się w hotelu/apartamencie na wynajem krótkoterminowy, który już znałem ze zdjęć w internecie. Niektórzy członkowie obsady nocują w tym samym budynku. To miejsce high-concept,

w świetnej lokalizacji, bo jedzie się stąd raptem dwadzieścia pięć minut do studia Cinecittà, gdzie będziemy filmować większość scen.

Moje tymczasowe mieszkanie określiłbym w najlepszym razie jako spartańskie. Z pewnością nie zostało zaprojektowane z myślą o komforcie tego, kto będzie tu mieszkał. Zostało za to zaprojektowane, żeby nakarmić ego architekta, a architekt ze swoim ego czuł się wyraźnie komfortowo. Apartament składa się z salonu z bardzo małą niewygodną kanapą i marmurowym stolikiem oraz aneksu kuchennego z kuchenką i szafkami ze stali nierdzewnej. Jest tu też mała sypialnia z łóżkiem, które wygląda tak, jak powinno wyglądać łóżko, ale nie czujesz się w nim tak, jak powinienesz czuć się w łóżku. No ale przynajmniej mam małą kuchnię. A właściwie dwie, bo poprosiłem o apartament połączony z drugim, który będzie czekał na odwiedzających mnie przyjaciół i rodzinę – ten też ma kuchnię. Nie jest tak źle. Powiedzmy.

Producenci uprzejmiwie zaopatrzyli to miejsce w produkty pierwszej potrzeby, o które poprosiłem: makaron, pomidory świeże i z puszki, oliwę z oliwek, chleb, sól, masło, marchewki, seler, fasolę i tuńczyka w puszkach, sok pomarańczowy, kapsułki z kawą Nespresso, wodę butelkowaną, pojemniki Tupperware, zestaw desek do krojenia i nowych noży. Zamówiłem pojemniki, żebym mógł przywozić własne jedzenie, bo poziom cateringu na planach zdjęciowych – nawet we Włoszech – nie jest zbyt wysoki. Jeszcze do tego tematu wrócimy.



Staram się nie myśleć o tym, że spędzę tutaj następne dwa miesiące. Już tęsknię za rodziną i domem. A zwłaszcza za kuchnią.

I łóżkiem – bo we własnym łóżku czuję się jak w prawdziwym łóżku, a nie jak na marmurowym blacie w pracowni cukierniczej.

Nalałem sobie kieliszek wina i nagle poczułem głód. Uroczy ludzie z recepcji polecieli mi miejsce tuż za rogiem, w którym mogłbym coś zjeść.

Poszedłem tam.

Zjadłem.

I zdecydowanie bym tego miejsca nie polecił.

3 stycznia

Dzisiaj rozpakowałem się jak należy, bo wspomniałem już, że spędzę tu prawie dwa kolejne miesiące. Ale kiedy tylko będę miał kilka dni wolnego, zamierzam latać do Londynu i z powrotem. Staram się nigdy nie przebywać poza domem dłużej niż dwa tygodnie z rzędu. Podróże bywają męczące, ale w dłuższej perspektywie taki układ jest lepszy dla mojego zdrowia psychicznego i mojej rodziny.

Próby i mierzenie kostiumów zaczynam w poniedziałek, więc dziś po prostu aklimatyzowałem się w nowym miejscu, byłem na siłowni, posiedziałem nad scenariuszem i zrobiłem lekki lunch. Fasola cannellini, tuńczyk z puszki, czerwona cebula, pomidory i oliwa z oliwek. Przygotowałem cały garnek sosu pomidorowego, bo podnoszą mnie na duchu jego aromat i sam akt jego przyrządzania; poza tym przez następne kilka dni będę go jadł z makaronem lub ryżem.

Próbowałem włączyć telewizję. Bez skutku. Nie jestem zbyt dobry w korzystaniu z nowinek technologicznych i ponieważ ten telewizor okazał się równie skomplikowany w obsłudze jak zamontowany na ścianie ekran dotykowy do oświetlenia, zaprojektowany chyba przez wściekłego astronautę, potrzebowałem pomocy. Wkrótce zjawiała się urocza kobieta, która

pomaga członkom obsady z podróżami, sprawunkami i problemami technicznymi, takimi jak mój obecny. Poinformowała mnie, że nie ma żadnych zagranicznych kanałów telewizyjnych, tylko kilka włoskich, co uznałem za osobliwe; jest za to multum platform streamingowych, typu Netflix i tak dalej. Przeczuję, że w nadchodzących tygodniach oddam się mojej *guilty pleasure*: oglądaniu masy filmów dokumentalnych o drugiej wojnie światowej. Nigdy nie mam ich dość. Serial *Historia II wojny światowej* z lat siedemdziesiątych widziałem co najmniej dziesięć razy. O tej porze roku pogoda w Rzymie może konkurować z londyńską. A właściwie jest jeszcze gorsza. Jest bardzo zimno i mokro.

Dziś wieczorem zjadłem kolację z moją przyjaciółką Claudią i jej mężem, Andream. Poznałem Claudię wiele lat temu w Rzymie i wciąż się przyjaźnimy. Pisałem o niej w *Smaku*, występuje też w rzymskim odcinku mojego serialu *W poszukiwaniu włoskich smaków*. Spotkaliśmy się na Zatybrzu, w starożytnej i obecnie bardzo modnej dzielnicy, o wiele bardziej zgentryfikowanej niż trzydzieści lat temu, kiedy Claudia zabrała mnie tam po raz pierwszy. Usiedliśmy na zewnątrz, pod markizą, w restauracji Taverna Trilussa i zjedliśmy klasyczny rzymski posiłek – czyli duże ilości makaronu. Piliśmy białe i czerwone wino, wzięliśmy trochę przekąsek: plasterki salami, prosciutto i kwiaty cukinii faszerowane mozzarellą.

Zamówiłem bucatini all'Amatriciana, Claudia zaś zdecydowała się na strozzapreti Zia Antonietta, twarde makaron z parmezanem, pesto i pomidorkami koktajlowymi. Nie pamiętam, co wybrał Andrea.

Istnieje wiele wersji strozzapreti, makaronu, którego nazwa oznacza dosłownie: „księżowscy dławiciele”. Podobno

pochodzi ze średniowiecza, kiedy katoliccy księża nie widzieli nic złego w tym, by raczyć się jajkami zebranymi przez swoich parafian. Z powodu tak egoistycznego zachowania biedni rolnicy, którym i tak brakowało prawie wszystkiego, musieli przyrządzać jedzenie bez jajek i wychodził im wyjątkowo twardy makaron, więc serwowali go odwiedzającym ich księżom z nadzieją, że się nim udławia.

Według innej wersji księża byli po prostu z natury żarłoczni i tak szybko pochłaniali ogromne porcje makaronu, że często dławili się nim i umierali. Nie wiem, który wariant jest prawdziwszy, ale podoba mi się to, że jedzenie, religia i śmierć są tak ściśle powiązane w historii jednego przepisu.